WARSZAWA. 1918.

JEDNODNIÓWKA

SAMOPOMOC UCZNIOWSKA PRZY SZKOLE HANDLOWEJ
8-o KLAS. ZGROMADZENIA KUPCÓW M. ST. WARSZAWY.

Witaj jutrzenko...

Witaj jutrzenko swobody...
Do ciebie wznosimy dłonie,
Ty wiek ziemi stworzysz młody,
W tobie szczęście świata płonie!...
Dalej bracia czynem wielu
Zdobędziemy życie jasne
Ziemi naszej, a w tym celu
Trzeba spoić siły własne,
Trzeba pracą z nas każdego
Stworzyć wspólnotę ogólną,
Dążyć do celu jednego,
Działać pracą wszystkich wspólną!!
Hejnał płynie, ludu wolny,
Stworzym całość wolnej ziemi.
Ufaj sobie, boś ty zdolny
Stworzyć to z ludy innemi!...
Ludu wolny, polski rodzie,
Tyś przecierpiał tyle męki,
Tyś jak nędzarz był o głodzie

Jak kalekaś był bez ręki,
Boś ty wolność swą utracił,
Bo wiek cały męką straszną
Był dla ciebie, wróg bogacił,
Się ojczyzną twoją własną!...
Ale oto mściciel woła:
Powstań z grobu, walcz z innemi,
Idź jak postać cud anioła
Wolność głosić całej ziemi,
Wszystkim ludom... idź narodzie,
Wolnyś!... Chwila ta już blisko,
Nic nie stanie na przeszkodzie
Jej, we wspólne więc ognisko
Łączmy serca nasze młodzi
W sercach naszych czyn się zrodzi,
Czyn ten ludzkość całą zbawi
I na czele nas postawi
Tych świetlanych dążeń ludzi,
A w tym czynie duch się zbudzi,
Duch wolności, mściciel wielki,
Zginie szatan, a z nim wszelki
Ucisk, terror i niewola!!!
Oraj bracie, by ta rola
Kwiecie cudne dała, plon,
Bo inaczej przyjdzie — zgon!!

Tadeusz Czarnomski.

MARZENIE.

Lili była chora. Spojrzenie dziewczynki biegło za góry, hen za lasy... daleko. Doktór obiecał powrót do kraju na wiosnę, więc Lili z tęsknotą oczekuje pierwszego promyka wiosennego słońca, zapachu fijołków i jaśminu. Biedna Lili... Zima. Pada śnieg. Lecą i lecą białe puchy, zamieć płatków osypuje szkielety drzew i krzewów. Sypie śnieg, sypie... bez końca... Wokół tak biało, cicho, sennie...

Bez szelestu lecą drżące płaty, okrywając ziemię miękkim kobiercem.

Lili smutno... Łzy przysłaniają jej oczy. Kaszle. Ach, ten wstrętny kaszel! Lecz Lili nie martwi się, bo wie, że górskie powietrze ją wyleczy; jednak mimowoli, cichutko, cichuteńko popłakuje—i marzy, marzy o wiośnie.

Lili żyje marzeniem. Dla niej, jak wreszcie dla każdego człowieka, jedynym szczęściem jest marzenie, nie prawda. Prawda, bez cudnego zawoju wyobraźni, to brutalny kościotrup, co śmieje się szyderczo ze smutnej tragifarsy—życia.

Zapada zmierzch. Smutny zimowy wieczór. Bezbarwny jak życie. Lili tak dziwnie; coś jej się marzy..

Zasypia. I śni się Lili cudna bajka—przyjście wiosny!

...Długo oczekiwana, idzie Wiosna. Ze złotej krainy marzeń zstępuje na polską ziemię królewna Odrodzenia. A zdawało się, że kresu zimy nie będzie, że uśpione gałązki nie puszczą pąków, pierwiosnki nie wyjrzą z pod śniegu, a śmigłe jaskółki nie będą

świergotem oddawały hołdu królewnie. A jednak przyszła Wiosna!... W szacie zieleni, w szatce powiewnej jak mgła, rozchylonej na cudnych dziewczęcych piersiach, w słonecznej przepasce na włosach, z czarnoksięską różdżką w dłoni — przyszła Wiosna!

A gdzie bosą nogą stąpiła, tam wyrastały fijołki, a gdzie różdżką skinęła, tam wykwitła Miłość i Radość...

Widzi Lili polskie pola, pokryte świeżą zielenią zbóż, rosochate wierzby nad strumieniem, gdzie w wodzie igrają promienie słoneczne, widzi złote pąki kaczeńca i tulące się wśród murawy stokrotki... W kryształowej kopule przestworza dzwoni skowronek, a gdzieś z oddali dolatują słodkie tony fujarki. To jasnowłose chłopię gra żwawą, a jednak tęskną piosenkę...

A z ziemi, z polskiej macierzy, bije radosny, ciepły oddech odrodzenia...

Na ustach chorej Lili błąka się uśmiech szczęścia...

Youreque.

Ku słońcu.

Cicha, parna majowa noc spowiła w swój całun miasto. Na niebie z poza chmur, gnanych lekkim wiosennym wietrzykiem, przeglądał się księżyc, co chwila słał swe światło srebrzyste na pogrążoną w spoczynku ziemię i znów ukrywa się za przeświecającą kotarę chmur...

W niewielkim pokoiku przy stole zasłanym książkami siedział Andrzej Zawicki. Lampa zakryta umbrelką, oświetlała jego pochyloną postać, w bladym jej świetle z szczególną wyrazistością występowały jego regularne rysy, żółta cera i błyszczące, jakby zgorączkowane oczy, z których widać było, że nie pierwszą noc spędza bezsennie.

Uczył się.

Oczekiwał go ostatni egzamin maturalny. Dotąd sprzyjało mu szczęście i ten jeden egzamin, którego się najbardziej obawiał, pozostał jeszcze i miał rozstrzygnąć o otrzymaniu świadectwa. To też Andrzej pracował z wysiłkiem, jakiego nie spodziewał się, by wytrzymały jego młodzieńcze siły. Myśl o możliwem jutrzejszem niepowodzeniu targała mu nerwy, ale zarazem dodawała zapału.

Były chwile, że natrafiał w książce na coś niezrozumiałego; wtedy ściskał podręcznik, jakby go chciał zniszczyć, w oczach migotały mu łzy, wkrótce opanował jednak słabość chwilową i nadal kuł, by w niedalekim czasie po egzaminie, wszystko, co

teraz z taką trudnością wciskał w najgłębsze zakątki mózgu — zapomnieć.

Wśród ciszy nocnej zegar wybijał upływające godziny. A Andrzej, który chciałby uciec od tego wiecznego tik-tak zegara ogarniał dziwny lęk i strach. Na twarzy jego występował rumieniec a z oczu niezdrowe jakieś błyski biły. Wreszcie powstał od stołu, wyprostował jakby zastygłe członki i z piersi wyrwało mu się westchnienie ulgi.

Umiał już wszystko.

Szybkim, żywszym ruchem zbliżył się do okna i pełną piersią zaczął wdychać ożywcze wonie nocy majowej.

Cicha majowa noc...

Kołysane lekkim wiaterkiem liście szemrały odwiecznie księżycową pieśń... Zasłuchany w ciszę nocy i upojony poblizkich bzów zapachem usunął się Andrzej na krzesło i zamykając oczy, ujrzał przed sobą przyjaźnie uśmiechnięte twarze profesorów. Pożądany i uspakajający otulił go sen.

A na niebie gwiazdy powoli nikły i dzień się budził.

. . . .

Egzamin wypadł pomyślnie. Następnego dnia po rozdaniu patentów, wczesną porą, kiedy ziemia utulona w całun mgły jeszcze odpoczywała, szedł Andrzej w stronę pól i łąk od rodziców swych modrzewiowego dworku. On pragnął pierwszy powitać słońce, którego wzejście miało być dla niego początkiem nowego w życiu okresu.

A tymczasem wspomnienia chwil ubiegłych gromadnie mu do umysłu zbiegały. Zebranie kolegów dla opracowania pożegnania z profesorami... Jego wybór na przemawiającego w imieniu opuszczających mury szkolne, wreszcie ten pożegnalny dzień wraz z rozdaniem patentów...

Przed oczyma Andrzeja staje siwy, jak gołąb dyrektor i żegna się z wychowańców gromadką. Brzmią jeszcze w uszach jego słowa: „Wy będziecie stawiać podwaliny do gmachu ojczyzny naszej, w szeregu jej wiernych sług stać winniście. Wy będziecie budowniczymi Polski“.

Poprzysiągł wtedy Andrzej, że będzie jej wiernym budowniczym i sługą...

Potem msza św., nakoniec wieczór pożegnalny z kolegami przyjazd do domu... Pogrążony w zadumie Andrzej nie widział objawów budzenia się natury z nocnego snu. Na brzegu lasu odezwała się kukułka, w pobliżu jej druga i powoli las cały się rozśpiewał w oczekiwaniu wzejścia słońca i przedarcia się jego strzał złotych przez zasłonę otulającej ziemię mgły. Jej popielaty całun powoli rwał się na strzępy i nikł. A na wschodzie ukazała się różowa smuga, czerwieniała powoli, obejmowała coraz większy skraj nieba, wreszcie się stała purpurową, całe niebo objęła pożarem...

Zapatrzony w płomieniejący wschód oczekiwał Andrzej wzejścia kuli ognistej. Wreszcie się ukazała i całą przyrodę w złociste przybrała szaty.

Andrzej wchłaniał w siebie tę moc twórczą, jaka doń ze słońca szła.

Pełny świetlanych nadziei, wyciągnął do niego ramiona i z ust jego szept spłynął:

— Przyszłość moja!

A po za nim szumiał bór stary... W jego mowie były, jakby echa proporców i chorągwi szumu i Andrzejowi się zdało, że płynie skądciś głos przepotężny:

— Do czynu! Do czynu!

I w tejże chwili stanęły mu w pamięci słowa: „Wy będziecie ojczysty wznosili gmach“.

Twarz jego spromieniała i wyszeptał z zapałem:

— Tobie Polsko—myśli moje i praca moja!

A bór prastary swą pieśnią odwieczną witał boga dnia...

Janusz Rabski.

NIBY BAJKA.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

Las szumiał bezlistnemi konarami drzew, pieśń pełną smutku i melancholji. Wiatr podrywał mokre napoły zbutwiałe już liście, które wirując dostrajały się do owej pieśni, by po chwili upaść w błotniste kałuże przydrożne.

Na polach spowitych w szare mgły i przysłoniętych, subtelnym welonem dżdżu, hulał bez przeszkody wiatr, rozrywając niekiedy mgły otulające bór i niewielki, poczerniały od starości dworek, stojący nad jeziorem. Na chwilę ukazywała aię matowa, zlekka pomarszczona powierzchnia wód drzemiących w cichej kotlinie.

Gdy wiatr ustał i zasłona deszczowa zgęstniała, pola i jezioro stanowiły jedną szeroką smugę zlewającą się z horyzontem.

Zmierzchało się...

Kontury drzew okalających dworek powoli się zacierały, roztapiały w mroku. Noc brała ziemię w swe objęcia.

Ciszę panującą wokół, przerywaną jedynie szmerem padającego deszczu i szumem wiatru, zmącił naraz głośny chlupot i dobiegające odgłosy głośnej rozmowy. Po chwili z mroków lasu wyłoniła się niewielka bryczka zaprzężona w jednego konia.

W bryczce siedziały trzy postacie starannie otulone płaszczami zajęte ożywioną dysputą.

„Jesteśmy nareszcie na miejscu!“—zawołał jeden z jadących.

— Więc powiadasz, że jesteśmy tu zupełnie bezpieczni? — zapytał drugi.

„Najzupełniej. W dworze mieszka tylko stary sługa z synem“, są oni zupełnie nam oddani, zresztą stary głuchy jak pień. Będziemy mogli rozmawiać zupełnie swobodnie?

— Czy wszyscy obywatele okoliczni zawiadomieni?

Naturalnie! Bardzo gorąco podjęli naszą myśl, bo przecież, to nie jest żaden jakobinizm, którego mówiąc nawiasem boją się jak ognia“.

— Ta sprawa, prawdę rzekłszy, całkowicie jest zrozumiała, sankiuloci nigdy nie znajdą propagatorów swych idei w...

Nie skończył, w pobliżu słychać było wyraźnie człapanie biegnących koni, w mroku trudno jednak było się zorjentować skąd.

W bryczce na chwilę zapanowała cisza. Koń gwałtownie ściągnięty — stanął.

„To nasi goście“ — przemówił uspakajająco trzeci podróżny dotychczas milczący.

Chwilę jeszcze nadsłuchiwali, a upewniwszy się, że istotnie żadne niebezpieczeństwo nie grozi, ruszyli dalej.

Po kilku minutach bryczka stanęła przed dworkiem.

Kilka okien było oświetlonych. Krwawe, drgające refleksy kładły się na błotniste kałuże, rozjaśniając nieco mrok nocy.

Nieznajomi szybko opuścili bryczkę i weszli do wielkiej na-pół ciemnej sieni. Jakiś wyrostek odebrał płaszcze i poprowadził gości w głąb domu.

Byli to młodzieńcy na pierwszy rzut oka dość podobni do siebie. Przy bliższym jednak przyjrzeniu się występowały wielkie różnice.

Najstarszy nazywać go będziemy Jerzym, blondyn o marzących jasnych oczach, wysokiem myślącem czołem, zgrabnie zarysowanym nosie i ustach scienionych bujnym wąsem, stanowił kontrast z młodszym, szatynem, starannie wygolonym, wciąż sarkastycznie uśmiechniętym, ten uśmiech czaił się na jego twarzy, nadając jej piętno przeżycia i niesmaku. Trzeci o pospolitych rysach nie zwracał niczem na siebie uwagi...

Młodzieńcy weszli do wielkiego salonu w którym zebrało się już liczne grono ludzi. Duża lampa stojąca na stole osłonię-

ta ponsowym abażurem, oświetlała tylko niewielki krąg koła stołu pozostała część salonu pogrążona była w cieniu. Przywitawszy się z obecnymi uściskami dłoni, znajomi nasi zajęli miejsca pod ścianą...

Przytłumiony gwar rozmów ucichł. Do stołu zbliżył się Jerzy.

Jerzy L... niedawno powrócił na zagon ojczysty z obczyzny, gdzie zdobył broń do walki z ciemnotą — wiedzę i tytuł doktora.

Łagodne światło ampli padało na jego twarz skupioną, na której malowało się głębokie wzruszenie...

Po chwili milczenia Jerzy począł mówić:

„Drodzy przyjaciele! Serdecznie dziękuję wam za skwapliwość z jaką podjęliście hasło rzucone przezemnie, a której dowodem jest tak liczny zjazd. Mam nadzieję, że myśli które pragnę zaraz przed wami rozwinąć znajdą uznanie i aprobatę.

Nie idzie mi bynajmniej o propagowania jakichś idei politycznych, lecz tylko o walkę z ciemnotą i zdziczeniem które takie tryumfy święci śród naszego włościaństwa.

Nie przesądzam, że sprawa ta jest łatwą. Przeciwnie, rozumiem, że wiele przeszkód nas czeka, lecz mam nadzieję, że dobra wola złą wolę pokona.

Rozwińmy jak najenergiczniejszą propagandę wśród kół ziemiaństwa. Drogą składek należy wykwalifikować zastęp nauczycielek oddanych sprawie, których nieprzestraszy żadne niebezpieczeństwo...

Dużo jeszcze mówił na ten temat Jerzy, przedstawił osobny plan działalności i schemat wydatków, proponował obywateli którzy mieli tej działalności dać początek. Gdy skończył, grzmiące oklaski wymownie zaświadczyły, że myśli te znalazły oddźwięk w sercach słuchaczy.

Rozwinęła się następnie ożywiona dysputa. Goście przy herbacie długo w noc jeszcze rozprawiali, a o ich entuzjazmie mówiły płonące twarze i błyszczące oczy...

Za oknami cicho szumiały prastare drzewa pieśń odwieczną która potężniała za każdym silniejszym podmuchem wichury. Szyby chłostane smugami deszczu drżały i dźwięczały monotonnie...

. . . .

Minęło kilka tygodni...

W tym samym salonie znów widzimy tych samych gości, lecz na twarzach ich maluje się smutek i przygnębienie.

„Tak mój drogi Jerzy“.

Co zrobiło sto lat niewoli, tego nie odrobić w miesiąc. Trudno trafić do duszy chłopa, trudno znaleźć te struny w jego sercu, które by oddźwiękły na pierwsze cieplejsze słowo.

Dusza pańszczyźniana szamoce się w nim ciągle z duszą wolnego człowieka, lecz człowieczeństwo nie zawsze tryumf odnosi, niskie instynkty biorą górę. Ziarna nienawiści siane tak długo nie wyplenią się odrazu.

Uspokój się!

— „Ja to wszystko rozumiem, przecież ja ich również znam, ale żeby oni byli zdolni wydać wrogom tych którzy im całą swą duszę poświęcili.

„O! To zbyt boli, to straszne, potworne“.

— „Mój Boże! żeby to jeden wyrzutek, ale nie, to wszyscy, to czyn zbiorowy“. — Głos mu się załamał, stłumione łkanie jego wyniosłą postacią.

Cisza zapanowała śmiertelna. Cisza okropna, dławiąca pierś i ściskająca za krtań.

Milczenie stokroć wymowniejsze niż najburzliwsze protesty.

W tem na dole zaczynało się dziać coś dziwnego. Jakieś tupotanie i szepty, po chwili schody poczęły trzeszczeć pod ciężarem kilku postaci, odgłos tłumionych kroków dobiegł do pokoju.

Wszyscy znieruchomieli. Wszystkie oczy pełne oczekiwania wbiły się w drzwi.

Oczekiwano czegoś strasznego.

Jerzy dygotał nie mogąc opanować wzruszenia.

Cichy jęk wydobył się z jego piersi.

— „Czyżby to było możliwe“?

„Nie! nie! zawołał i rzucił się do drzwi, które w tej chwili się otworzyły i stanął w nich oficer. W ciemnościach sieni majaczyły sylwetki żołnierzy, połyskiwały ostrza bagnetów...

. . . .

Drogę w kierunku N... szła gromadka ludzi otoczona oddziałem wojska.

Deszcz przestał padać...

Na wschodzie poczęło się przejaśniać. Niebo się zaróżowiło. Krwawy odblask wschodzącego słońca odbijał się w wielkich kałużach i szybach opustoszonego dworku.

Świtało... *g.*

To, czego nam brak.

Dużo się u nas mówi o tolerancji. Każdy wie, że jest to jedna z najszlachetniejszych cech charakteru ludzkiego, że stanowi ona jeden z kardynalnych warunków normalnego rozwoju życia danego społeczeństwa. Były czasy, kiedy naród polski jeden z pośród tylu innych europejskich mógł się pochlubić, że postęp umysłowości ludzkiej nie podlegał w kraju skrępowaniu i ograniczeniu, że się swobodnie rozwijał. wykształcał i bez przeszkody torował sobie nowe drogi. Tolerancja jest produktem szlachetnej i dążącej naprzód wiedzy, jak również przyczynia się do rozwoju umysłowości i życia społecznego. Jej też w znacznej mierze zawdzięczamy, że epoka ówczesna zdobyła sobie nazwę „wieku złotego“, że stanowi ona najświetniejszą kartę w naszej historji.

Były, ale minęły jednak te czasy. Rzadko teraz możemy pośród nas znaleźć człowieka prawdziwie tolerancyjnego; zdarza się nam nawet słyszeć często w odpowiedzi słowa oburzenia, gdy zażądamy od kogoś uwzględnienia cudzych przekonań, zrozumienia stanowiska i założenia, jakich one zostały wyprowadzone.

Bo też niełatwo jest pojąć tego, który inną niż my wskazuje drogę ku zrealizowaniu tych samych, co nasze ideałów i tymbardziej tego, którego ideały są wręcz przeciwne, głoszonym

przez nas. Zrozumiałem jest, że jeżeli wypracujemy sobie jakiś pogląd, to zarazem uważamy go za najsłuszniejszy, bo przecież gdyby tak nie było, to staralibyśmy się go natychmiast odpowiednio zmienić. Przytem warto zaznaczyć, że nie należy zbyt szybko zmieniać zdania pod wpływem cudzego, gdyż to świadczyłoby o małym wyszkoleniu charakteru, chociaż i tu trzeba być ostrożnym, nie wpaść w drugą ostateczność i nie trwać tylko przez sam upór przy jednym zdaniu.

Idzie więc o to, aby w chwili, gdy już mamy własny wyrobiony pogląd, nie zająć bezwzględnie opozycyjnego i wrogiego stanowiska względem obcych przekonań i ludzi, co je głoszą. Wprawdzie nie jest to rzeczą łatwą. ale można już tego od nas wymagać, abyśmy godnie kontyunowali rozwój kultury wieków przeszłych, abyśmy utrzymali wolność myśli i przekonań.

A przecież zamiast uszanować zdanie przeciwnika, zamiast zastanowić się nad tym, że i on także może mieć słuszność, my zaś nie jesteśmy doskonałością—wyśmiewamy—nie tylko to, co on wypowie, ale i jego samego, uważamy go za wroga, ignorujemy, wymyślamy mu i szczujemy na niego drugich, oskarżamy go o złą wolę, nie myśląc o tym, że on we własnym przekonaniu ma niemniejszą niż my słuszność.

Smutnym naprzykład obecnie jest objawem, że młodzież dojrzalsza jako ci, których życie już w znacznym stopniu łączy się pracą ideową, którzy w przyszłości mają stanąć na czele społeczeństwa, zasklepiają się w kręgu nabytych i nabywanych uprzedzeń. Możemy od nich żądać, aby zrozumieli, że nie wolno im niczyich myśli zacieśniać, jeśli nie chcą przez to biegu własnych zahamować.

Przez to samo wrogość i zacietrzewienie wzajemne rozmaitych partji i kierowników nie dopuszcza do tak upragnionej konsolidacji, rozbija siły i energję narodu. Jak to wszystko musi razić niemile ludzi obcych. Z tego, co widzą, wysnuwają wnioski, że chyba nie jesteśmy zdolni do samodzielnego życia, że jeszcze trzeba nas prowadzić i kierować nami. Musimy przyznać,

żo podajemy broń przeciwko nam samym. Bo rzeczywiście taki stosunek wzajemny świadczy już nie tylko o zachowaniu, ale przedewszystkiem o braku szerszego wykształcenia, oraz płytkości umysłowej i duchowej. Albowiem człowiek prawdziwie światły i głęboko myślący, choćby stał na zupełnie innym niż jego przeciwnik stanowisku ideowym, nigdy nie będzie walczył bronią wymierzoną przeciw samej sobie tego przeciwnika, a natomiast zawsze zachowa takt oraz poszanowanie cudzego zdania.

J. Krakowski.



Cicha noc srebrna.

Cicha noc srebrna... ciepło i jasno,
Naokół światła nikną i gasną,
Nademną gwiazda błękit roztrąca,
W eterze płyną blaski miesiąca,
W przestrzeni czuwa Bóg.

Wciąż wzrok stęskniony wznoszę ku górze
„Świeć gwiazdo życia! Nie gaśnij w chmurze!
Bo moje drogi takie zaćmione,
Że nie wiem, w którą udać się stronę
By minąć cierpień próg?

Gaśnie mi gwiazda za chmury cieniem
Iskrą ostatnią błyska ze drżeniem,
A głos tajemny wnika w przestworza:
„Pójdziesz tamtędy, gdzie wola Boża,
Nie szukaj innych dróg“.

. . . .

Cicha noc srebrna... ciepło i jasno,
Naokół światła nikną i gasną,
I znowu gwiazda błękit roztrąca,
W etrze płyną blaski miesiąca
Tak im nakazał Bóg...

B. Ż.

SŁOWACKI.

Słowacki... Wieszcz „zakochany w śmiertelnej twarzy ojczyzny“, co widział wady jej synów; pragnął je wykorzenić i dla tego wielkiego celu nie cofał się przed pełną goryczy, bolesną chłostą ziomków.

„Jeśli gryzę — to sercem“. Strażnik grobów, który z „prochów zamkniętych w narodowej urnie“ wskrzesi lud, którego zadaniem życia było „śpiewać i dążyć do kresu, ożywić ogień, jeśli jest w iskierce“, pieśnią zrodzoną z bólu własnego, podnieść naród i zagrać.

Juljusz Słowacki... Jak Mickiewicz miłował ojczyznę, a jednak dla swej odrębności był niezrozumiany, nieodczuty przez współczesnych, których wyprzedził o wiele, wiele lat. Rozbrat z rzeczywistością oddalił go od nich. W cudnej krainie marzeń, zdala od wszystkiego, co niskie, co ziemskie, czuł się panem. Nie wołał mar — przychodziły do niego same, a on je rzeźbił w kształty poetyckie, potężne, jak posągi marmurowe. Mary te z popiołów ojczyzny powstawały—„takie przejrzyste, świeże, żywe, młode!“ W „tęczowej kopule myśli“ czuł potęgę, lecz „ile razy zetknął się z rzeczywistemi rzeczami, opadały mu skrzydła i był smutny albo gniewny“. Odsunięty od wszystkich, choć walczyć musiał niemal ze wszystkiemi, choć szedł przez nieszczęśliwe życie samotny, choć w sercu czuł smutek — wiedział, że „płaszcz na jego duchu nie był wyżebrany“, bo choć odejdzie cicho, jak duch gdy odlata“—jednak twórcza jego praca nie zostanie bezpłodną.

...Zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic, tylko czoło zdobi,
Lecz po śmierci waś będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba, w aniołów przerobi.

Czuł potęgę swej broni. Jego poezja była bogatszą pod względem formy i barwy od poezji Mickiewicza i Krasińskiego. W cudnych strofach kojarzył pierwiastki muzyki i malarstwa. Dźwięczny wiersz zespalał się z przepychem obrazów. Myślał i pisał obrazami. Był przekonany o pokrewieństwie swego rymu z „królewskim" rymem Kochanowskiego i z mową, co powstała z szumu lip, w których cieniu spoczywał Jan z Czarnolasu...

Inny jak wszyscy, przez całe życie wielki samotnik, skarży się w jednym z listów do matki: „Darujcie mi — bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobnym do ludzi— a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka"... Stąd też niezrozumienie Słowackiego przez ogół, stąd owa ostra krytyka dzieł, zasługujących na inną ocenę. Słowaćki musiał walczyć. Zranione jego serce czuło całą krzywdę, gdy „co dnia, krainę mar rzuciwszy cudną, powracał między gady"... Nie mógł złączyć się z tłumem, bo go nie rozumiał, bo gardził nim nawet. Tym zasadniczo różnił się od Mickiewicza, który bezbrzeżnie wielkim uczuciem, wielkim sercem umiał pociągnąć masy za sobą. Widział wady społeczeństwa, uważał je za niezdolne do czynu, a stąd wypływało jego negacyjne stanowisko względem mesjanizmu mickiewiczowskiego. Jednak wielki wieszcz wywarł kolosalny wpływ na Słowackiego; idea anhellizmu oparta jest na idei Mickiewicza, a raczej jest, że tak powiem, biernie, pojętym mesjanizmem. Anhelli to Słowacki, który przez całe życie samotne, w ciągłym konflikcie ze społeczeństwem, jest wybraną jednostkę na ofiarę.

Do ukochanej matki zwracał się smutny, znękany życiem, ciągłą walką z wszystkim i wszystkiemi. Matka podtrzymywała go w najcięższych chwilach. A tych miał w życiu dużo — mało dobrych. Znał wiele kobiet, lecz kochał jedną „kochankę pierwszych dni". Na skałach, nad morzami, w gajach, gdzie słychać

trele słowików, gdzie pachną bzy i jaśminy, gdzie przez zieleń wiośnianych liści przegląda się księżyc w ciemni jeziora, miał w pamięci jej oczy smutne i dumne czoło... Ukochana... Słodkie, małe słowo—tyle się w nim mieści...

W poglądach na przyszłość ludzkości jest bezwzględnie demokratą. Do ludów ona należy. Tę przyszłość on wyczuwa. Jej mara przyszła do niego, gdy wstąpił na szczyty piramid, gdy stał na kolosach szwajcarskich. Wtedy nastąpił w nim przełom. Twórczość przestała być dlań grą wyobraźni, a stała się wyrazem uczucia narodowego. Wierzył, że lud pójdzie za nim, bo natchnie go pieśnią potężną, pieśnią, która odmaluje wszystkie jego czyny i żądania. Od Towiańskiego przyjął zasadę, że „wszystko dla ducha i przez ducha stworzone jest" i to stało się podstawą jego teorji i bezustannym rozwoju „ducha wiecznego rewolucjonisty", przybierającego coraz dogodniejsze kształty, umierającego aby zmartwychwstać. A gdy wreszcie duch dostał się do najdoskonalszej formy—człowieka, rozwija się dalej, szukając ciągle innych ciał ludzkich. Na czele zbiorowiska pewnej masy jednostek stoi wyraziciel jej idei — Król Duch. Zasługi jego i grzechy, poświęcenia i zbrodnie („przez zniszczenie do odrodzenia"), oddziaływały na całe powodzenie narodu. Król Duch Polski—to sam Słowacki, „własna jego odwieczna przeszłość, własna jego coraz się powtarzająca palingeneza, aż do obecnego żywota, w którym mu wypadło iścić posłannictwo swoje w roli poety i walczyć z szatanami epoki—na polu myśli, potęgą słowa...*) Na współczesne mu pokolenie narodu polskiego patrzy okiem krytycznym. W poglądzie na przyszłość Polski wychodzi z założenia o przeszłości. Polska będzie kontynuowała tę pracę ducha, która szła w niej wiecznie, aż zerwie „czerep rubaszny" z „anielskiej duszy" i doprowadzi do epoki, w której duch będzie panować, a nie forma.

Z powodu teorji o wiecznym postępie musiała nastąpić kolizja między nim a Krasińskim, którego w gruncie rzeczy konserwatywne stanowisko zrozumiał.

---

*) Małecki.

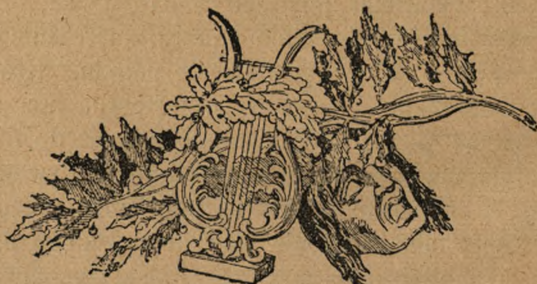
Ukochał prawdziwe piękno, prawdziwą sztukę, a wobec niej pogańskie, rzymskie lub greckie miał serce, które wielbiło rzeczy tylko nieskazitelnie piękne, wspaniałe w boskiej nagości.

Szarpał i gryzł — lecz sercem.

Bo wierzył w jutro...

Choć teraz nie zbudował nic, posiew rzucony, zostanie po nim „siła fatalna“, co „zjadaczów chleba w aniołów przerobi“, a gdy to nastąpi, wtenczas zniknie w niepamięci, zapomniany, a wielki... Nie! Będzie naszym **Królem Duchem**! Tak jak Mickiewicz, będzie dla polskiego narodu niezapomnianym, natchnionym wieszczem, który mówił o bólu, pragnieniach i krwi męczeńskiej Polski, który oddał Nieśmiertelnej największy skarb — wielkie serce.

JERZY SZYNDLER



Zamiast feljetonu.

— Znacie tę historyjkę z drzewkiem?

— Znamy!

— A pamiętacie ją dobrze?..

— Pamiętamy, pamiętamy!

— No to posłuchajcie!.. Zaczynam.

Przy drodze wiejskiej zaczęło wyrastać młodziutkie drzewko Gdy to zauważyli mieszkańcy wsi, zaczęli radzić co zrobić z młodziutką roślinką. Jeden radził by drzewko ściąć zaraz, motywując swe wywody tym, że drzewko będzie przy drodze zawadzać; drugi dowodził, że trzeba przyłożyć starań by się rozwinęło — stanowić będzie ozdobę; trzeci popierał plan hodowania roślinki, lecz dla innych niż jego poprzednik celów. Chciał on mianowicie by rozrosłe drzewo posłużyło na opał. Ten trzeci pokłócił się zaraz z drugim o cele, a obaj poważnili się z pierwszym o zasadę. Dokoła nich utworzyły się stronnictwa popierające swych przewodników. Ale nie skończyło się na tym. Ktoś z obecnych pamiętając o zasadach wolności, postanowił stworzyć jeszcze jedno samodzielne stronnictwo. Udało mu się to. To stronnictwo zawiązało się pod hasłem przybicia na drzewku tablicy, pouczającej o odległości od pobliskich miasteczek. Partje zajęły wnet wrogie względem siebie stanowiska. Zaczęto się waśnić, nawet bić, a o drzewku tymczasem zapomniano. No i... nic... Aż raz przejeżdżali drwale, wycinający sąsiednie lasy. Zechcieli oni zrąbać przydrożne drzewko. Chłopiec, pasący przy drodze gęsi, skoczył z tą wieścią do wsi i nawoływał do obrony drzewka. Lecz nikt go nie słuchał. Każde stronnictwo mówiło: „Czyż po

to mamy się trudzić, by nasi przeciwnicy postąpili potem z drzewkiem według swej woli? Niech go tamci bronią, nie pójdziemy!“ I nie poszli.

A tymczasem drwale rąbali drzewko... Skończyłem.

Jestem wzruszony... z oczu kapią mi łzy. Takie łzy musiały zraszać policzki Aleksandra Macedońskiego, gdy objął genjalnym rzutem myśli nieszczęsne losy trojańskie...

— Dobrze, ale po co ty nam to opowiadasz? Mieliśmy mówić przecież o rzeczach äktualnych!

— Tak, po co nam to mówisz?

— Poczekajcie, poczekajcie, pokażę wam w myśl zasady, która mówi, że wszystko się na świecie powtarza, otóż pokażę wam w myśl tej zasady, że ta historyjka o młodym drzewku, wcieliła się w obecne nasze życie!

Więc zważcie. I teraz dopiero drzewko wyrasta, a już się kłócimy jakie ma ono być. Poglądów co niemiara. Jedni urządzają sobie ligawkę, ci są nieruchomymi aktywistami, a ci znów ruszającemi się pasywistami. Tu macie rusofilów, tam innych „filów“. Tu partja socjalno-demokratyczna, tu znów demokratyczno-socjalna, tu nacjonalizm demokratyczny, tam narodowa demokracja. Są wreszcie partje mające już lokal partyjny i prezydjum, ale nie mające jeszcze... zwolenników. Jednym słowem— babiloński zamęt. Każdy na swą rękę działa (czytaj: krzyczy na swą rękę), każdy ciągnie w swoją stronę, przypominając mi uparcie łabędzia, raka i szczupaka z bajki Kryłowa.

A te stronnictwa—to poważnione gromady mieszkańców wsi, a to ich drzewko — to..., a ci drwale—to..., a ten to... no i tak dalej, a resztę sobie dopowiedzcie sami, bo mnie już brak courage'u.

Dodam tylko: pamiętajcie o tym, co powiedział Szekspir: „Jeszcze skóry na baranie, a już owczarz bierze za nie“ — i pomyślcie, czy tak właśnie nie postępujecie.

Leszcz...

„Ideał a rzeczywistość”.

Ideał a rzeczywistość..., teorja a praktyka..., marzenie a życie jak odmienne są to wyrazy, jak daleko stoją od siebie, jak odmienne ich brzmienie i wartość, że doprawdy możnaby je przyrównać do dwuch biegunów magnesu, gdzie dodatniemi ośrodkami byłyby pierwsze wyrazy tych zestawień, a ujemnemi następne. Możnaby w całej o rozciągłości zastosować tu prawo przyciąganie biegunów jednoimiennych, a odpychania się różnoimiennych: rzeczywistością] i praktyką jest życie, teorja zaś ideałem, marzeniem, ale jak życie wyklucza marzenie, tak praktyka teorję, a rzeczywistość ideał... Czemu tak jest?.. Jestto pytanie, na które odpowiedzi umysłowość ludzka dotąd nie znalazła, jestto syzyfowa praca, podjęta w zamierzchłych wiekach przez świat filozofji greckiej: stoików, epikurejczyków, przez Platona, Sokratesa, Senekę, Arystotelesa i kontynuowana przez całe okresy lat, przenosząca się z kraju do kraju, wraz z rozwojem kultury i cywilizacji, ale jak dotąd nierozwiązana. Jestto ów sławny węzeł gordyjski, wobec którego ludzkość bezsilną jest dotąd; czy go kiedy ludzie rozwiążą — przyszłość pokaże...

Czy może kiedy praktyka stać się teorją, życie marzeniem, a ideał rzeczywistością?.. Przypuszczam, że nie.

Jestto odpowiedź kategoryczna, destrukująca optymistyczne zapatrywanie się na tę kwestję. Powstaje jednak pytanie zupełnie racjonalne: dlaczego tak ma być i czym można to umotywować?

Człowiek, jako dalszy etap rozwoju świata zwierzęcego, jeśli przyjmiemy hypotezę ewolucji, idzie ciągle w kierunku kultury i postępu, zarówno pod względem ściśle materjalnym, jako też i duchowym. Chwilowe odchylenia od tego kierunku, lub nawet cofanie się wstecz, jest tylko anormalnym wyjątkiem którego pod uwagę brać nie można, nawet wtedy, gdyby czas ich trwania rozciągał się na wieki całe, zawsze bowiem jednak za jednostkami silnemi duchowo, pójdzie ogół cały, sugestjonowany przez ideały ich, przeciwdziałające temu, co złe i kłamliwe. Gdybyśmy mogli przypuścić, że ludzkość dojdzie do ideału, musielibyśmy wyjść z założenia jedynie tylko tego, że byłoby to zasklepieniem się w skorupie jednakich pojęć i zasad, oddzieleniem się chińskim murem od ideału, byłoby rzeczywistością, nie zaś urzeczywistnieniem go! Ideał bowiem, to stopień uduchowienia jednostki, lub społeczeństwa całego, dążący ciągle w jednym i tym samym kierunku ku wyzwoleniu się ze wszelkich możliwych przeszkód, przeciwdziałających dobru i prawdzie. Czyż można więc przypuścić, że to dążenie nieustające, mogłoby się kiedyś zatrzymać, czyż może ono mieć kiedyś swoje maximum?.. kiedy to jest, że się tak wyrażę: prosta, dążąca do nieskończoności. A życie?.. To owa druga prosta, co według pewnika Euklidesa, dąży równolegle do pierwszej, to jest równolegle do ideału, nigdy się jednak z nim nie przecinając. Ideał podnosi się i życie wraz z nim, ale ciągle odległe od siebie, przedzielone jakąś nieznaną przeszkodą. — Czyżby ta przeszkoda była naprawdę nieznaną i niewytłomaczoną? — Tak... to tylko bowiem co można stwierdzić zapomocą ścisłych faktów, staje się prawdziwem, a tymczasem w tej mierze takich scisłych faktów przytoczyć nie można. Mogą to być tylko rozmaite hypotezy, rozumujące w tem, lub inny sposób i uzależniające te dwie rozbieżne rzeczy i wyjaśniające zarazem istniejący między niemi przedział.

Jedną z takich hypotez, którą możnaby postawić, jest ta, że między ideałem a rzeczywistością istnieje jedynie różnica, polegająca na niejednakowym czasie powstania ideału i rzeczywistości. To, co w ideale kształtuje się i rozszerza, to dopiero po całych wiekach czasu znajduje oddźwięk w rzeczywistości, copraw-

da w niezupełnie dokładnej formie jaką podawał ów ideał, a nieco zmienionej. Rzeczywistość więc może się stać ideałem, ale tylko chwilowo i to ideałem z zamierzchłej przeszłości, człowiek zaś dąży do tego, by jego ideał stał się rzeczywistością w tym czasie, kiedy go on kształtuje i urabia. Oto dlaczego jedno wyklucza drugie.

Gdybyśmy nawet powtarzam mogli przyjąć, że ideał staje się rzeczywistością, to jest: odtąd człowiek przestaje już dążyć w kierunku myślowym dla polepszenia swych warunków doczesnych, musielibyśmy przyjąć, że ów człowiek zamiast iść naprzód cofa się ciągle wtył. Natura bowiem ludzka nigdy doskonałą być zupełnie nie może i własciwością jej jest odchylanie się od racjonalnych nawet i przynoszących korzyści duchowe i materjalne praw i zasad. To też z chwilą, gdybyśmy uznali że ludzkość doszła do jakiego maksymalnego poziomu, tym samym faktem jużby się cofała wstecz aż do zupełnego minimum kultury i postępu.

Czem jest właściwie dziedzina ideału i rzeczywistości trudno doprawdy odpowiedzieć. Gdybyśmy chcieli porównać te dwie rzeczy i przedstawić sobie zasadnicze różnice panujące między niemi, moglibyśmy analogiczne zupełnie do nich różnice znaleść w tych dwuch dziedzinach, jakie zwykł człowiek nazywać: duszą i ciałem, materją. Całokształt tego, co odczuwamy z pomocą naszych zmysłów, nazwalibyśmy rzeczywistością, to zaś, co jest dostępne jedynie dla myśli ludzkiej ideałem. Ponieważ natura ludzka, posiadająca wiele instynktów zwierzęcych doskonałą nie jest i nigdy być nią nie może, dlatego, że człowiek stawia sobie coraz większe wymagania dla swoich czynów, przeto i rzeczywistość doskonałością, ideałem być nie może; myśl zaś ludzka, ponieważ stara się uniezależnić od warunków zewnętrznych i potrzeb materjalnych, dąży więc w kierunku całkowicie odchylanym od rzeczywistości.

Powstaje pytanie jakim warunkom zasadniczym powinny czynić zadość ideał i rzeczywistość?,. Na to możnaby odpowiedzieć, że tylko dwum, a mianowicie: żeby ideał był jaknajbliższy rzeczywistości, w każdym razie, żeby z niej wynikał, rzeczywis-

tość zaś, żeby była jaknajbliższą ideałowi. Jeżeli się zastanowimy nad ideałami ludzkości, jeżeli się przyjrzymy ich stopniowemu rozwojowi, dojdziemy jedynie do wniosku, że źródło ich leżało zawsze w rzeczywistości, zawsze bowiem wszelkie marzenia dążyły do naprawy tego co było, więc za fundament swój brały sobie rzeczywistość równocześnie wraz z tym, lub innym poglądem istniejącą i tym więcej miały rękojmi na urzeczywistnienie swe, im bliżej były rzeczywistości, im więcej były zespolone z nią. Tak też nam odpowiada na to historja filozofji, to jest historja ideału ludzkości. Czy to bowiem weźmiemy pod uwagę zasady Platona, Sokratesa, Saint-Simona, Comte'a, Feuerbacha, Straussa, Marxa, Engelsa, Stirnera lub Nitzch'ego, zawsze ich ideały wynikają z tego, co już istnieje i dopiero powołując się na ujemne strony rzeczywistości, reformują ją myślowo. Co zaś do rzeczywistości, to tym więcej odpowiada ona wymaganiom wszelakim człowieka, im więcej zbliżoną jest do tego wzoru, jakiby on w niej widzieć pragnął, to jest do ideału.

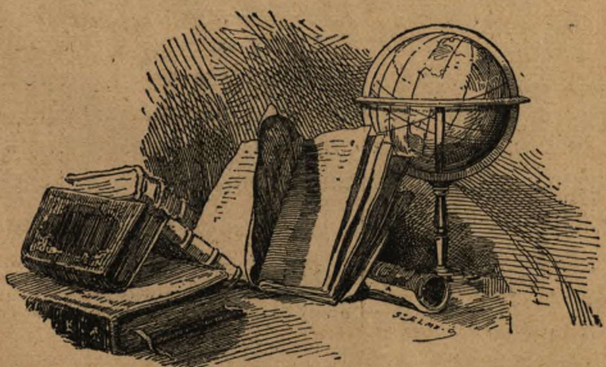
Tak, ale wobec tego możnaby przecież zaznaczyć, że jeżeli rzeczywistość i ideał powinny wzajemnie dążyć do siebie, to przecież powinny się kiedyś spotkać?.. Możnaby jednak temu przypuszczeniu zarzucić dwie rzeczy, a mianowicie najpierw to: że „powinny“. Wiele rzeczy powinno być, ale nie jest, powinność sama bowiem jest pewnym stopniem ideału, a właściwie rzeczywistości dążącej doń a tymczasem nie wszystko człowiek robi z tego, coby powinien, żeby być człowiekiem tylko, a niezwierzęciem obdarzonym jedynie większą dozą sprytu, chytrości i wyrafinowania! Drugim zaś motywem obalającym przypuszczenie, jest ten pewnik, że zawsze rzeczywistość dąży równolegle wraz z ideałem i chociażby poziom kultury jej się podnosił, podniesie się z nim odpowiednio poziom kultury ideału człowieka.

Świat nasz jest właściwie zespoleniem się, pogmatwaniem jakimś dwuch odmiennych zupełnie światów myśli i materji, stąd dwa odmienne prądy: materjalizm i idealizm. Trudno jednakowoż ustanowić dokładnie granice, gdzie się jeden z nich kończy, a drugi zaczyna. Człowiek bowiem czasem i z rzeczy cał-

kowicie zespolonych z tym światem materjalnym, tworzy sobie częstokroć ideał, który niestety, wcześniej, czy później wyzwala się ze wszystkich idealnych obsłonek i inscenizacji, jakie mu nadał i wytworzył. Dzięki temu właśnie tylu jest wśród nas młodych pesymistów krańcowych, którzy raz i drugi stworzywszy sobie ideał z rzeczywistości, zniechęcają się potem do niego, widząc, że nie odpowiada on zupełnie ich wygórowanym wymaganiom. Takim ludziom, takiej młodzi, można jedynie powiedzieć, że „powinno się brać rzeczy, takiemi, jakiemi one są“..., nie znaczy to jednak, żeby się godzić na nie, na ich zło i konieczność tego zła... nie, ale żeby je zmieniać nie w myślach swych, a w rzeczywistości, nie w marzeniu, a w czynie, nie w głowie a w ręku, a jeśli się widzi, że z ideału rzeczywistości nie będzie nigdy, trzeba z nim zerwać i precz go odrzucić, bo on tylko niszczy młode serca i jad w nie stopniowo zaszczepia, budząc zniechęcenie i apatję, obezwładniając ich zapał młodzieńczy i siłę!!...

„Nie marzyć o tem i we śnie,
Co w życiu nieziszczone,
Zaprawdę łatwiej łowić mgłę,
Niż szczęście tak stworzone!!“.

T. C.



OD WYDAWCÓW.

Drugi już numer naszej „Jednodniówki“ wypuszczamy poza mury szkolne, ufając w to, że społeczeństwo przyjdzie nam z pomocą i tym niewielkim datkiem, jakim jest cena egzemplarza wesprze naszą pracę, mającą na celu udzielenie pomocy pieniężnej tym z naszych kolegów, którym środki materjalne nie wystarczają na opłacenie wpisu, a którzy wszak mają prawo do nauki narówni z innemi.

Ciężkie warunki wojny, która już czwarty rok się przeciąga, zwiększyły ich liczbę, na ręce Samopomocy coraz liczniejsze wpływają podania o zapomogi, tem usilniejszą być musi nasza praca i starania, podjęte na tej drodze. My, młodzież chcemy im przyjść z pomocą, chcemy im podać rękę bratnią, ale bez współudziału ogółu całego społeczeństwa, będziemy bezsilni, liczymy więc na to, że spotkamy się z jego zachętą i pomocą, która nam pozwoli kontynuować w dalszym ciągu podjęty program pracy.

Zakres literacki i artystyczny naszego pisma pozostawia być może dużo jeszcze do życzenia, liczymy jednakowoż nato, że ogół przyjacół młodzieży, którzy zechcą współdziałać z nami w podjętej pracy, weźmie pod uwagę, że są to pierwociny dopiero, podjęte z wielkim zapałem, ale zarazem zupełnie samorzutnie, nie tyle więc może ze względu na wartość literacką naszego pisma, ile na nasze dobre chęci spotkamy się z usilną aprobatą ze strony całego ogółu.

Komisja Wydawnicza przy „Samopomocy uczniowskiej“ w Szkole Handlowej 8-o kl. Zgromadzenia Kupców m. st. W.